



## Utracone wspomnienia

**Z**araz po porannej toalecie, Harry i Hermiona udali się do Wielkiej Sali na śniadanie. Przy stole nauczycielskim zastali jedynie Seana Monaghana. Czarodziej szybko ich jednak opuścił, tłumacząc się przygotowaniami do pierwszej lekcji.

— To dziwne uczucie zjeść ponownie posiłek w Wielkiej Sali — westchnęła Hermiona, kiedy kwadrans później maszerowali ku wyjściu. — Chciałabym spędzić tutaj nieco więcej czasu, ale obowiązki wzywają... Za godzinę muszę być w Ministerstwie... Mamy posiedzenie komisji eksperymentalnych zaklęć...

— Ja za chwilę mam pierwszą lekcję — odrzekł bez entuzjazmu Harry, kiedy wyszli przez podwójne drzwi i stanęli na kamiennej posadzce, pośrodku sali wejściowej. Nim zdolali się jednak pożegnać, uwagę Harry'ego przykuł wysoki czarodziej o trupio bladej twarzy, ostro zakończonym podbródku i jasnych włosach, który schodził właśnie po marmurowych schodach. Był ubrany w czarną szatę, zapiętą po samą szyję, a na głowie nosił gustowną tiarę, ozdobioną złotym haftem.

— Draco? — zdumiał się Harry, kiedy czarodziej stanął tuż

obok nich. — Co ty tutaj robisz? — spytał, a twarz Malfoya wykrzywił niezbyt przyjemny grymas. Hermione obdarzyła go krótkim, chłodnym spojrzeniem.

— Witaj, Potter — odrzekł bez entuzjazmu Draco. — Wracam właśnie od McGonagall. Rada Nadzorcza jest nieco zaniepokojona sytuacją w szkole... — zrobił krótką pauzę, ale na widok zainteresowanego spojrzenia Harry'ego szybko dodał: — Zaczęliśmy się zastanawiać, czy McGonagall dobrze radzi sobie z zapewnieniem bezpieczeństwa naszym drogim uczniom...

— Oczywiście, że sobie radzi — odrzekł stanowczo Harry. — To głównie dzięki jej staraniom jestem tutaj.

— Nie jestem pewien czy to gwarantuje bezpieczeństwo uczniom — zakpił Draco.

— Uczniowie są bezpieczni — odparował Harry. — Nikomu nic nie grozi.

— Zapominasz chyba o drobnym incydencie z udziałem twojego syna — stwierdził sucho Draco. — Rada Nadzorcza obawia się, że osobiste pobudki mogą przysłonić niektórym nauczycielom dobro pozostałych uczniów.

— James i Fred już zostali surowo ukarani — odrzekł chłodno Harry. — Mieli przymusową wizytę w Zakazanym Lesie, a co srodę pomagają Filchowi w sprzątaniu ubikacji. I to bez użycia czarów!

— Niech zgadnę, sam to wymyśliłeś? — spytał złośliwie Draco. — Cóż za wyrafinowanie.

— Nie zamierzam nikogo faworyzować — wyjaśnił Harry, podnosząc nieco głos. — Chciałbym, żeby to było jasne.

— Dla mnie to jest dość jasne — odrzekł Malfoy, a Hermione wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, bo jego słowa zabrzmiały dość szczerze. — Problem w tym, że większość członków Rady Nadzorczej jest innego zdania. Pojawiają się naciski, aby zastąpić McGonagall kimś bardziej odpowiednim.

— O jakich naciskach mówisz?! — mruknęła zaskoczona Hermiona, a Draco obdarzył ją krótkim, pełnym niechęci spojrzeniem.

— Kilku członków Wizengamotu uważa, że McGonagall nie sprawdza się w roli dyrektora. Że jej powrót z emerytury po śmierci Davisa był błędem. Naciskają na nas, żeby odesłać ją z powrotem.

— A od kiedy Wizengamot miesza się w sprawy Hogwartu? — zdziwiła się Hermiona.

— TY mnie o to pytasz, Granger? — zakpił czarodziej. — Jako zastępca dyrektora Departamentu Przestrzegania Prawa Czarodziejów powinnaś o tym wiedzieć najwięcej.

Hermiona zalała się rumieńcem.

— Teraz nazywam się Weasley — stwierdziła sucho.

— Nie sądzę, że jest się czym chwalić — zakpił Draco i nim Hermiona zdołała się odgryźć, uklonił się nisko i ruszył w kierunku wyjścia. Harry'emu coś się jednak przypomniało.

— Wyrazy współczucia z powodu śmierci twojego ojca, Draco — oznajmił chłodno. Malfoy powoli obrócił się ku niemu. Wyglądał na zmieszanego i rozzłoszczonego.

— Zupełnie niepotrzebne — stwierdził lodowatym tonem. — Nie utrzymywałem z nim kontaktu od wielu lat. Dla mnie umarł już dawno temu.

— Skoro tak, to czemu naciskałeś Wizengamot, żeby przenieść twojego ojca na oddział zamknięty Szpitala Św. Munga? — wycodziła złośliwym tonem Hermiona.

— Nie powtarzaj bzdur wyczytanych w brukowcach, Granger — syknął Draco przez zaciśnięte zęby i bez słowa opuścił salę wejściową.

— To nie są bzdury. Wiem o tym od mojego szefa — wyjaśniła Harry'emu, ale ten nic nie odpowiedział. Intuicja podpowiadała mu, że Draco przeżywa w głębi serca śmierć ojca, tylko nie

chce tego okazywać.

Przez kilka kolejnych dni Harry spędzał wieczory na stadionie. Wielkimi krokami zbliżał się mecz Gryfonów z Puchonami. Kapitan Edward Berns chciał mieć pewność, że jego drużyna bez problemu zwycięży, więc nalegał na dodatkowe szkolenie szukającego.

— Nikt lepiej nie przygotuje Barry’ego — tłumaczył, ilekroć Harry próbował opuścić trening. Siłą rzeczy był więc zmuszony przeszukiwać zasoby biblioteki podczas przerw lub okienek między lekcjami. Nie miał też zbyt wiele czasu na rozmyślanie o zapiskach z dziennika Snape’a. Determinacja, aby ruszyć śledztwo z miejsca pochłonęła go niemal całkowicie. Hermiona nie dawała znaku życia. Ron poinformował go tylko, że spędza całe wieczory w Londyńskiej Bibliotece Dzieł Niemugolskich, a każdego ranka zabiera ze sobą do Ministerstwa tuzin wypożyczonych, opasłych tomisk.

Sobotni poranek był mroźny. Po błoniach hulał silny, lodowaty wiatr, rozdmuchując śnieżny puch na każdego, kto przechodził wydrążonymi w śniegu tunelami. Kwadrans przed jedenastą odziani w grube płaszcze, wełniane czapy i kolorowe szale uczniowie kierowali się ku stadionowi. Towarzyszyły temu wesołe rozmowy. Wielu miało ze sobą lornetki i kolorowe transparenty. Trybuny szybko się zapełniały. Fred i James przechadzali się wśród kibiców, przyjmując zakłady.

— Większość obstawia wygraną Gryfonów — stwierdził z ironią James, kiedy na hazardzie przyłapał ich Neville i zarekwirował wszystkie zebrane galeony. Kiedy Harry pożyczył swojej drużynie zwycięstwa i opuścił szatnie, trybuny były już niemal całkowicie zapełnione. Pospiesznie zajął miejsce w łoży honorowej.

— Słyszałem, że wasz szukający jest świetny — zagadnął go Monaghan, siedzący tuż za nim. — Nie mów nikomu, ale posta-

wilem na Gryfonów dziesięć galeonów...

— Och, mogę od razu ci je oddać, Sean — syknął oburzony Neville, wyciągając sakwę zarekwirowanych monet. — Hazard w Hogwarcie jest zakazany.

Monaghan spłonął rumieńcem. Wziął od Neville'a monety i nie odezwał się już ani słowem. Na płytę boiska, wśród głośnych wiwatów, wkroczyli zawodnicy obu drużyn. Pani Hooch poleciła im dosiąść miotel. Uwolniła złoty znicz, który trzepocząc skrzydełkami poszybował wysoko w górę, znikając z oczu zawodników. Następnie zadęła w wielki srebrny gwizdek i piętnaście miotel wystrzeliło w powietrze.

— ...Lewis Bell natychmiast przejmuje kafla.... świetny przerzut do Peakesa... z powrotem do Bella i... a niech to szlag, Gryfoni tracą piłkę...

— WIKTORIO!

— Przepraszam, wujku... znaczy, panie profesorze.

Wiktoria Weasley, siedemnastoletnia córka Billa i Fleur, była komentatorką. Jako gorliwa Gryfonka zawsze miała trudności z zachowaniem obiektywizmu. Neville niemal na każdym meczu zmuszony był cenzurować jej wypowiedzi.

— Kafel w rękach Puchonów... Dippet podaje do Dragonosa... wspaniały unik przed tłuczkiem Daniela... Dragons wystrzelił w kierunku obręczy Gryfonów... ponowny unik... och, szybuje jak prawdziwy smok!

— Wiktorio, bo będę zmuszony zabrać ci głos! — syknął Neville. — Daruj sobie złośliwości!

— Postaram się! — zapewniła pospiesznie dziewczyna. — Och... obrońca Gryfonów jak zwykle niezawodny! Kafel ponownie w rękach Bella... zręczny unik przed tłuczkiem... celne podanie do Peakesa... zgrabny przerzut do McLaggena i... GOL! Chloe Smith nie udało się zablokować Samuela... Dziesięć do zera dla Gryffindoru!

Rozległy się radosne wiwaty Gryfonów i kilku Krukonów, oraz jęki zawodu Puchonów. Dało się słyszeć również gwizdy niezadowolonych Ślizgonów. Harry tymczasem z zainteresowaniem przyglądał się poczynaniom Barry'ego White'a. Chłopak w skupieniu szybował ponad resztą zawodników, starając się wypatrzeć charakterystyczny złoty błysk. Piłeczka przepadła jednak bez śladu. Summers, szukający Puchonów, co chwilę zerkał na Barry'ego i kilka razy dla zmyłki gwałtownie przyspieszał w kierunku trybun. Godzinę później Puchoni prowadzili trzydzieści do dziesięciu.

— Berns po raz kolejny przechwytuje kafel! — komentowała Wiktoria. — Podaje do Bella... zwinny unik przed kaflem... podanie do Peakesa... Uuu... to musiało boleć!

Tyler Peakes, ścigający Gryfonów odebrał kafel, jednak pałkarz Puchonów wybił w jego stronę tłuczek, który walnął go prosto w tył głowy.

— Kafel ponownie w rękach Puchonów!

— Hagrid nie zamierza oglądać meczu? — zapytał nagle Neville, wskazując Harry'emu puste miejsca na trybunach.

— Nie ma też Lisy — zauważył Harry, gdy dokładniej rozejrzał się po łoży. — Dziwne...

Urwał, bo właśnie ucichły okrzyki. Kibice zamarli. Barry White wypatrzył znicza tuż przy obręczach przeciwników. Wystrzelił w jego stronę, szybko zrównując się z Summersem. Mknęli ramię w ramię. Harry wstrzymał oddech. Megan Frost, pałkarz Gryffindoru, odbiła tłuczek w stronę Summersa, który robiąc unik pozostał nieco w tyle. White wysunął się na prowadzenie. Pochylił się nad miotłą wyciągając rękę w stronę znicza. Już niemal go sięgał kiedy... ŁUUP!

Miotła White'a gwałtownie zatrzymała się w miejscu. Zaskoczony Summers, który był tuż za nim nie zdołał w porę wyhamować, ani zrobić uniku. Z impetem walnął w Gryfona. Kibice

zamarli. Harry przerażony wstał z miejsca. White i Summers runęli z olbrzymiej wysokości w dół. Stadion wypełniły przerażone wrzaski uczniów. W loży honorowej wybuchła wrzawa.

Harry wycelował w kierunku rannych zawodników różdżkę, aby uchronić ich przed skutkami upadku. Pani Pomfrey wraz z bibliotekarką Irmą Pince pomknęły w kierunku schodów i już po chwili biegły po płycie boiska.

— Widzieliście jak zachowała się miotła White’a?! — krzyknął zaskoczony Slughorn, klepiąc Harry’ego w plecy. — Ktoś musiał ją zaklęć!

Neville złapał Harry’ego za ramię i pociągnął w kierunku schodów. Błyskawicznie zbiegli na boisko, żeby dowiedzieć się o stan zdrowia szukających.

Pani Hooch zarządziła przerwę w meczu. Wszyscy zawodnicy wylądowali na boisku. Wokół rannych zrobiło się zbiegowisko. Kibice na trybunach milczeli, w napięciu oczekując na jakieś informacje. Harry przecisnął się między zawodnikami i ujrzał Barry’ego leżącego bez ruchu na śniegu. Poczul nieprzyjemny skurcz w żołądku. Do zbiegowiska natychmiast dołączyli pozostali nauczyciele.

— Na szczęście, żadnemu nic się nie stało — stwierdziła kwadrans później pani Pomfrey, po dokładnym przebadaniu obu zawodników. — Zaklęcie poduszki uchroniło ich przed pogruchotaniem kończyn... Potrzebują tylko chwili na regenerację...

McGonagall odetchnęła z ulgą.

— Dlaczego u licha tak nagle zahamowałeś?! — oburzył się Summers, a Barry wzruszył ramionami.

— Nie zahamowałem — stwierdził ku zdumieniu większości. — Miotła przestała reagować na moje polecenia. Nie mam pojęcia, dlaczego.

— To niemożliwe — zaproponował jakiś szczupły mężczyzna w limonkowej szacie, którego Harry kilkakrotnie widywał w Mini-

sterstwie Magii. — Grom 2000 to najnowocześniejszy, dostępny na rynku, model miotły! Używa ich reprezentacja!

— To bez znaczenia — stwierdził Harry, a głowy wszystkich zwróciły się ku niemu. — Żadna miotła samoistnie się tak nie zachowuje. Ktoś musiał rzucić na nią silne zaklęcie paralizujące.

— Grunt, że chłopcom nic nie jest! — zawołał z ulgą Slughorn, gładząc sumiaste wąsy.

— Zatem możemy wznowić mecz? — spytała z naciskiem pani Hooch, wyglądając zza pleców zawodników. — Kibice się niecierpliwia!

Pani Pomfrey podała szukającym eliksir wiggenowy. Wypili go niechętnie i po półgodzinnej przerwie wznowiono rozgrywkę. Kwadrans później ścigający Lewis Bell dwukrotnie wbił kafel w obręcz Puchonów. Był remis. Uczniowie w napięciu obserwowali poczynania szukających. Ci szybowali w skupieniu ponad zawodnikami, starając się ponownie wypatrzeć uskrzydloną piłeczkę.

— Kto mógł rzucić klątwę na miotłę White'a? — mruknął Neville do Harry'ego. — Nie sądzę, żeby maczał w tym palce jakiś Puchon.

— Ja również tak nie uważam — odrzekł Harry, błędząc wzrokiem za White'em. — Żaden uczeń nie rzuciłby na tyle silnego zaklęcia paralizującego, aby zdołało osiągnąć szukającego i skutecznie zadziałać. Jestem przekonany, że maczała w tym palce osoba, która siedzi teraz z nami w łoży.

Neville rozejrzał się nerwowo wokół siebie.

— Hagrid z Lisą! — szepnął, wskazując na skraj Zakazanego Lasu. Harry odwrócił głowę i dostrzegł dwie postaci wylaniające się z leśnych gęstwin. Jedna była bardzo duża i włochata. Druga mniejsza i szczupła. Poruszała się z taką gracją, że Harry nie miał najmniejszych wątpliwości, kim może być.

— Co oni tam robili?! — spytał zaintrygowany Neville, ale



nim Harry zdołał coś odpowiedzieć, rozległy się zduszone okrzyki kibiców. Ucichła wrzawa. Wszyscy wstrzymali oddech. Harry natychmiast zwrócił głowę ku boisku. Dostrzegł White'a i Summersa mknących ramię w ramię za uskrzydloną piłeczką. Puchon wysuwał się nieznacznie na prowadzenie, jednak Barry nie dawał za wygraną. Trącił go łokciem z taką siłą, że Summers zachwiał się lekko na miotle.

— White i Summers idą leb w leb! Szybki unik przed tłuczkiem Frost... Znicz jest już na wyciągnięcie ręki! — wrzeszczała Wiktoria. — Obaj zaciekle walczą! OUCH!

Pałkarz Puchonów odbił tłuczek, który poszybował w stronę szukających. White musiał ujrzyć go kątem oka, bo w porę pochylił się na miotle, a piłka z impetem walnęła Summersa prosto w głowę. Zawodnik zachwiał się na miotle i gwałtownie wyhamował. White przyspieszył wyciągając rękę w kierunku znicza.

— Summers kontuzjowany! — zawołała Wiktoria, z trudem skrywając radość. — White wciąż przy zniczu! Już prawie go ma! ZNICZ W RĘKACH WHITE'A! GRYFONI WYGRALI!

Wybuchły radosne wiwaty Gryfonów i Krukonów, którym wtórowały jęki zawodu Puchonów. Ślizgoni, jak można było się spodziewać, zaczęli wygwizdywać zwycięską drużynę.

— Gratuluję — mruknął Neville podając Harry'emu rękę. — Nawet zaczarowana miotła nie przeszkodziła wam w zwycięstwie.

Po meczu zapanował ogólny chaos. Gromady uczniów wpłynęły na boisko, aby pogratulować zwycięzcom. Ślizgoni wciąż wygwizdywali Gryfonów i kierowali w ich stronę wyrafinowane epitetety. Puchoni w milczeniu udali się do szatni, a Neville pobiegł za nimi. Wyglądał na głęboko zasmuconego. Harry pogratulował zawodnikom świetnej gry i przedzierając się przez tłum, pomaszerował w kierunku zamku. Miał nadzieję, że może uda mu się jeszcze dogonić Lisę i Hagrida.

— Gdzie się tak spieszysz? — zapytał Monaghan, który wyłonił się niespodziewanie z tłumu i pospiesznie podszedł do niego. Wyglądał na zasapanego. Rękawem wytarł krople potu, które spływały mu po czole. — Pomyślałem, że masz może ochotę uczcić zwycięstwo?

— Dzięki, Sean — odrzekł z zakłopotaniem Harry. — Ale już się z kimś umówiłem — skłamał. — Spieszę się na spotkanie...

— Rozumiem — odrzekł zawiedziony czarodziej, przystając w miejscu. — W takim razie nie przeszkadzam ci. Zobaczymy się później.

Harry nie oglądając się za siebie ruszył w kierunku zamku. Nie udało mu się jednak dogonić Lisy, a kiedy wszedł do sali wejściowej nikogo tam nie zastał. Cała szkoła nadal stłoczona była na boisku, więc w zamku próżno było szukać żywej duszy.

— Och, Harry! Doskonale! — zawołał Prawie Bezgłowy Nick, który niespodziewanie wynurzył się ze ściany, szybując ku niemu z przejętą miną — Rozmawiałem z Grubą Damą! Stało się coś niesłychanego!

Zaskoczony Harry podszedł do marmurowych schodów, przy których zatrzymał się duch. Sir Nicholas wyglądał na głęboko wzburzonego.

— Ponad pięćset lat jestem tu rezydentem i spotykam się z czymś takim po raz pierwszy! — zaczął z niesmakiem duch. — Ktoś włamał się do gabinetu profesor McGonagall! Skradziono własność dyrektora szkoły!

Otworzyły się drzwi wejściowe i do zamku zaczęli napływać zmarznięci uczniowie. Salę wejściową wypełnił gwar. Harry wraz z Nickiem pospiesznie ruszył do gabinetu na siódmym piętrze.

— Opowiedz wszystko, co wiesz, Nick — polecił duchowi, pospiesznie wspinając się po schodach. — Co dokładnie zaszło?

— Gruba Dama słyszała od gromady mnichów w sali trofeów, że ktoś wkradł się do gabinetu dyrektora... Portret Dumbledo-

re'a zaalarmował mnichów, że skradziono coś cennego...

— Wiadomo, co takiego? — zapytał Harry, czując nieprzyjemny skurcz w żołądku. — Dumbledore powiedział co to było?

— Podobno jakaś szkatuła z cenną zawartością — odrzekł ze zgrozą Nick. Harry poczuł, jakby żołądek wywracał mu się na lewą stronę. Serce waliło mu jak młotem. Jedyna szkatuła, jaka w tej chwili przychodziła mu do głowy, a którą McGonagall przechowywała w gabinecie, to ta w której znajduje się kolekcja wspomnień zgromadzonych przez Albusa Dumledore'a.

— Domyślasz się o jaką szkatułę może chodzić? — zapytał zaintrygowany duch.

— Domyślam się — odrzekł sucho Harry. — Ale obym się mylił.

Jeśli szkatuła wejdzie w posiadanie Rady Starszych — pomyślał — dostarczy jej członkom wielu cennych informacji o przeszłości Voldemorta oraz o horkruksach, które stworzył! Że też wcześniej na to nie wpadłem!

— Nick, znajdź czym prędzej McGonagall — polecił z naciskiem. — I poinformuj ją o tym co się stało. Będę czekał w jej gabinecie!

Początkowo niechętnie, duch ruszył ku dolnym piętrům zamku, znikając w kamiennej posadzce. Harry tymczasem przyspieszył i po chwili pobiegł na drugie piętro. Kiedy minął załamanie korytarza i dotarł na miejsce, dostrzegł roztrzaskaną w drobny mak kamienną chimerę. W ścianie wybita była olbrzymia dziura. Wszedł pospiesznie do środka, a spiralne schody ruszyły w górę. Kiedy stanął przed lśniącymi dębowymi drzwiami, otworzył je pospiesznie i wszedł do środka. W gabinecie panował harmider porównywalny do tego na trybunach podczas meczu.

— CISZA! — wrzasnął Harry, a wszystkie portrety zamilkły, jak zaczarowane.

— Dobrze, że jesteś — stwierdził napiętym głosem Dumble-

dore, który stał między ramami swojego obrazu, dysząc ciężko. — Ktoś skradł wspomnienia...

— Wiem, profesorze — odrzekł bezsilnie Harry. — Widział pan złodzieja?

— Nie — odrzekł Dumbledore. — Nagle zapanowały w gabinecie egipskie ciemności. Ktoś musiał rzucić zaklęcie... Słyszeliśmy tylko trzaski i kroki... Kiedy ciemności ustały szkatuły już nie było...

— Peruwiański proszek natychmiastowej ciemności... — mruknął Harry, bardziej do siebie niż do portretu. — Kiedy to się stało w szkole trwał mecz quidditcha — oznajmił. — Było tutaj wielu gości spoza zamku... Obawiam się, że schwywanie złodzieja będzie niewykonalne!

Dumbledore westchnął. Dyrektorzy z pozostałych portretów ponownie zaczęli zżarcie dyskutować i przekrzykiwać się nawzajem. Harry usiadł zrezygnowany na krześle przed biurkiem. Jego spojrzenie przez chwilę zatrzymało się na wykrywaczu kłamstw, który stał na stoliku z pajęczą nogą. Nagle coś sobie przypomniał.

— Profesorze, mam pytanie dotyczące tego wynalazku — stwierdził, wskazując na patefon. — To urządzenie nie zareagowało, kiedy mój syn skłamał.

Dyrektorzy zamilkli. Widocznie zaciekały ich słowa Harry'ego. Dumbledore uśmiechnął się nieznacznie.

— Zakładam, że twój syn skłamał, chcąc ochronić ciebie? — zapytał, a kiedy Harry potwierdził kiwnięciem głowy, kontynuował: — No właśnie. Mój magiczny patefon nie jest zwykłym wykrywaczem kłamstw. Wykrywa złe intencje osoby, która przy nim stoi. James kłamiąc kierował się twoim dobrem, a więc miał czyste intencje.

— To dlaczego pan... *skłamał*? — spytał niepewnie Harry. — Patefon nie gwarantował, że James mówił prawdę w kwestii ata-

ku na Higgsa.

— Wręcz przeciwnie — zaproponował Dumbledore. — Jeśli James by skłamał, kierowałby się głównie egoizmem i chęcią ochrony własnej skóry, kosztem innej osoby. Miałby więc złe intencje i patefon by natychmiast to wykrył.

Zanim Harry zdołał zadać kolejne pytanie, z łoskotem otwarły się drzwi wejściowe. Do gabinetu, z kamienną twarzą, wparowała McGonagall, a za nią Monaghan, Neville i Slughorn.

— Co tu się stało?! — krzyknęła lodowatym tonem.

— Szkatuła z kolekcją wspomnień profesora Dumbledore’a przepadła — odpowiedział Harry, a McGonagall ściągnęła usta i głośno przeklęła.

Wiść o włamaniu do gabinetu dyrektora rozeszła się po szkole lotem błyskawicy. Jeszcze tego samego wieczoru dyskutowano o tym w pokojach wspólnych. Krążyły rozmaite pogłoski, a wśród najbardziej absurdalnych królowała rewelacja o górskim trollu, który wparował do gabinetu w poszukiwaniu pożywienia. Podczas rozmowy w cztery oczy, Harry opowiedział McGonagall o swoich przypuszczeniach odnośnie Rady Starszych, której członkowie mogli stać za kradzieżą.

— Myślisz, że to czego oni szukają, znajduje się w zgromadzonych przez Albusa wspomnieniach? — zapytała załamany głosem McGonagall, siedząc za swoim biurkiem. Była biała jak papier.

— Oni interesują się horkruksami — odrzekł z rozmysłem Harry. — A wspomnienia zawierają dużo informacji na ten temat.

— Czy to łączy się jakoś z morderstwem Filiusa? — spytała czarownica, ukrywając twarz w dłoniach. — Myślisz, że członkowie tej Rady za tym stoją?

— Profesora Flitwicka znaleziono w schowku na miotły na siódmym piętrze — przypomniał sobie natychmiast Harry. —

Nieopodal tego gabinetu. Być może zginął, bo nakrył kogoś na próbie włamania.

— To by się zgadzało — stwierdziła McGonagall ze smutkiem — Tego wieczoru, gdy zginął Filius, nie było mnie w szkole. Pojechałam na urodziny bratanicy. Ten kto to zrobił, wiedział że gabinet jest pusty.

— A ile osób wiedziało o pani wyjeździe? — spytał zaintrygowany Harry.

— Praktycznie wszyscy nauczyciele — odpowiedziała McGonagall, przecierając rękawem zalzawione oczy.

Nadszedł upragniony przez wszystkich koniec semestru. Kiedy sianie z uczniami pomknęły przez zamarznięte jezioro w kierunku stacji Hogsmeade, w zamku zapanowała cisza, głęboka jak śnieg na otaczających go błoniach. Na korytarzach pojawiły się świąteczne dekoracje. Jak co roku, Hagrid przytaszczył do Wielkiej Sali cztery olbrzymie świerki. Ich przyozdobieniem zajęła się Lisa.

Gdy Harry zszedł w Wigilię na śniadanie, ujrzał przepiękne girlandy i mieniące się światłem gwiazd choinki, oplecione kolorowymi łańcuchami. Gałązki uginały się pod ciężarem olbrzymich kryształowych bombek. W powietrzu, pośród lewitujących świec, szybowało kilku wesołych krasnali. Ubrani w stroje Świętego Mikołaja, siedząc na maluteńkich miotłach, rozsypywali po stołach cukierki.

— Jak ci się podoba? — spytała Lisa, kiedy stanęła przed nim ubrana w zwiewną sukienkę, sięgającą zaledwie do kolan. — Dekorowaniem Wielkiej Sali zawsze zajmował się profesor Flitwick. Mam nadzieję, że nie wygląda to gorzej niż zwykle?

— Jest pięknie! — stwierdził wesoło Harry, a Lisa rozpromieniała na twarzy.

— Och, jemiola! — pisnęła, wskazując palcem do góry i ku

zdumieniu Harry'ego, zupełnie niespodziewanie, zbliżyła swoje usta do jego ust, składając na nich delikatny pocałunek. Harry zapłonął rumieńcem. Poczul, że nogi mu się uginają.

— CO TO, DO CHOLERY, MA ZNACZYĆ?! — ryknęła wściekle Ginny, wylaniając się niespodziewanie zza pleców Harry'ego.

— Och, witaj, kochanie! — odrzekł Harry przeproszającym tonem. — Cieszę się, że już jesteście!

Lisa wyglądała na zmieszaną. Ginny obdarzyła ją lodowatym spojrzeniem.

— A gdzie jest Lily? — zapytał Harry, przerywając niezręczną ciszę, jaka nastąpiła.

— James zabrał ją do swojego dormitorium — stwierdziła chłodno Ginny. — Obiecał, że oprowadzi ją po zamku. Czy pani całuje każdego nauczyciela w tym zamku?

— Nie — jęknęła zmieszana Lisa. — Ale to taka tradycja... Jemiola — próbowała wyjaśnić, ale Ginny musiała wyglądać naprawdę groźnie bo szybko dodała: — To ja już pójdę...

I pospiesznym krokiem wyszła z Wielkiej Sali. Ginny wierceła ją pełnym wściekłości spojrzeniem, dopóki nie zniknęła za podwójnymi drzwiami.

W świąteczny poranek Harry wstał bardzo wcześnie. Głównie za sprawą dzieci, które wparowały do jego gabinetu, chcąc pochwalić się swoimi prezentami. Ginny nadal była na niego obrażona, jednak podręczny zestaw miotlarski, jaki od niego otrzymała, skutecznie poprawił jej nastrój. Kiedy rozpakowano już wszystkie prezenty, pod małą choinką na biurku pozostał jeszcze jeden, niewielki pakunek.

— To dla ciebie, tatusiu — stwierdziła Lily, odczytując kartkę przypiętą do prezentu. — Otwórz natychmiast!

Zaskoczony Harry wziął do ręki pakunek i pospiesznie zerwał kolorowy papier. W niewielkim drewnianym kuferku znalazł fla-

konik z wirującą, srebrną substancją.

— Co to takiego, tato? — spytał Al, zbliżając twarz do flakonika.

— Czyjeś wspomnienie — odrzekł z niedowierzaniem Harry, spoglądając pytająco na żonę. Ginny była równie zaskoczona jak on.

— Jest jeszcze liścik! — zawołał James. — *Mam nadzieję, że zrozumiesz i wybaczysz.* L.M. — odczytał na głos.

— L.M.? — powtórzył ze zdumieniem Harry. — Nie mam pojęcia, o kogo może chodzić.

Po śniadaniu, Potterowie udali się do Hagrida. Gajowy poczęstował ich herbatą i twardymi jak kamień piernikami. James zaproponował bitwę na śnieżki, więc Ginny miała okazję, aby odegrać się na mężu za pocałunek z Lisą Turpin. Kiedy bitwa dobiegła końca, Harry i Hagrid wyglądali jak dwa wyjątkowo szpetne bałwany.

Po południu wszyscy zgromadzili się w Wielkiej Sali, gdzie zgodnie z tradycją miał odbyć się uroczysty obiad. W szkole zostało tak mało osób, że cztery stoły zastąpiono jednym okrągłym. Poza dziećmi Harry'ego, do obiadu zasiadło trzech Krukonów, jedna pulchna Puchonka i przyjaciel małego Albusa, Henry. Żaden Ślizgon nie został na ferie w Hogwarcie. Z nauczycieli na obiedzie brakowało tylko Monaghana, Neville'a i Trelawney.

Kiedy pieczone indyki, góry ziemniaków, frytek oraz groszek polany masłem zaczęły znikać, dzieci sięgnęły po czarodziejskie, strzelające niespodzianki. Salę wypełniły huk i kłęby kolorowego dymu. Z każdej petardy wyskakiwały niezwykle upominki, które u wszystkich wywoływały niepohamowane salwy śmiechu. Tylko Sylas Wilkie wyglądał, jakby cierpiał na wyjątkowo uciążliwą niestrawność. Lisa zerknęła nieśmiało na Harry'ego za każdym razem, gdy tylko Ginny na chwilę odwróciła od niej wzrok. We-



sołą zabawę przerwała sowa, która niespodziewanie wleciała do Wielkiej Sali, lądując niezgrabnie na stole. U nóżki miała przywiązany list.

— To do ciebie, Minerwo — stwierdziła Rolanda Hooch, podając kopertę McGonagall. Rozmowy i śmiechy ucichły. Wszyscy z zaciekawieniem wpatrywali się w panią dyrektor, która powoli rozpieczętowała kopertę i zaczęła bezgłośnie czytać list.

— Wszystko w porządku? — zapytał zatroskany Slughorn, widząc napięcie na twarzy McGonagall. — To dobre wieści?

Czarownica odchrząknęła.

— Obawiam się, że nie dla mnie — stwierdziła sucho. — W świetle ostatnich wydarzeń, Rada Nadzorcza Hogwartu uznała, że nie powinnam dłużej kierować szkołą.

— Odwołali cię?! — jęknął zdumiony Slughorn. — To chyba jakaś pomyłka?!

— Przecież to oni nalegali, żeby wróciła pani z emerytury i ponownie objęła to stanowisko! — zawołała zaskoczona Lisa, a kilku nauczycieli jej przytaknęło.

— W trosce o dobro uczniów, chcą mnie zastąpić kimś innym — zakpiła McGonagall. Harry przypomniał sobie rozmowę z Draco Malfoyem. Czarodziej wspominał, że Wizengamot próbuje wpłynąć na Radę Nadzorczą i nakłonić ją do odwołania obecnego dyrektora. Widocznie członkowie Rady w końcu ulegli tym sugestiom.

Reszta obiadu minęła już w dużo spokojniejszej atmosferze. Kiedy wieczorem uczniowie udali się do swoich dormitoriów, McGonagall zaprosiła nauczycieli na pożegnalnego drinka. Spotkanie to nie należało do najprzyjemniejszych, zwłaszcza, że była na nim obecna Lisa. Z wiadomych względów, nie przypadła Ginny do gustu. Harry z nieskrywaną ulgą opuścił po godzinie gabinet dyrektora i wraz z żoną ruszył w kierunku swojego gabinetu.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że odwołali McGonagall — stwierdziła sennym głosem Ginny, a Harry już miał coś odpowiedzieć, kiedy w oddali dostrzegł jakiś ruch. Zatrzymał się gwałtownie, a wraz z nim Ginny.

— O co chodzi? — zapytała zaskoczona. Harry wyciągnął przed siebie różdżkę i rozświetlił korytarz zaklęciem Lumos. Dostrzegł jakąś wysoką postać pochylającą się nad czymś podłużnym, leżącym na kamiennej posadzce.

— Zaczekaj tutaj! — polecił żonie i pędem ruszył przed siebie. — *DRETWOTA!*

Wampir zdążył jednak uskoczyć przed zaklęciem. Odwrócił się błyskawicznie w stronę Harry'ego, odsłaniając trupioblada twarz. Ociekała krwią. Charknął przeraźliwie i zaczął uciekać. Harry zaczął rzucać kolejne zaklęcia, jednak wszystkie chybiły. Niestety, wypite u McGonagall drinki osłabiły jego celność. Zbliżył się do leżącego na kamiennej posadzce ciała i natychmiast rozpoznał twarz ofiary.

— JAMES! — jęknął przeraźliwie, a Ginny natychmiast zjawiła się przy nim. Klęknęła łkając i pochwyciła głowę syna, kładąc ją na swoich kolanach. — *DOPADNĘ GO!* — ryknął z furją Harry i pędem ruszył za napastnikiem. Biegł przez płataninę korytarzy z wyciągniętą przed siebie różdżką, gotów do ataku. Nie dostrzegł jednak nigdzie sylwetki wampira. Do jego uszu dobiegł przeraźliwy krzyk i rozpaczliwe wycie Ginny. Pobiegnął z powrotem. Korytarz wypełniło żalosne łkanie i donośne, pełne przerażenia okrzyki opasłego rycerza na osiołku, z obrazu, który wisiał tuż przy miejscu zbrodni.

— *MORDERSTWO! ZABITO UCZNIA! MORDERSTWO!*

Pośród tych przeraźliwych wrzasków, Harry powoli podszedł do żony, wciąż trzymającej w objęciach ciało Jamesa. Jego twarz była biała jak papier. Oczy miał zamknięte. Usta były rozwarte. Nie poruszał się. Harry cały dygotał. Ręce zaczęły mu się trząść,

serce zapłonęło rozżarzone rozpaczą. Upuścił różdżkę. Po policzkach spływały mu łzy.

— Żyje? — spytał z bezsilnością. Ginny nic nie odpowiedziała. Nie była w stanie wypowiedzieć choćby jednego słowa. Spojrzała na niego załzawionymi oczami i pokręciła przecząco głową. Korytarz wypełniło rozpaczliwe wycie Harry’ego, które echem odbijało się po zamku. Przerywały je jedynie wykrzykiwane przez portret rycerza słowa: „MORDERSTWO! UCZEŃ NIE ŻYJE!”